

Rozglądam się wokół swojego domu.

Rozmowa z Jackiem Zacharą

W jaki sposób trafiłeś do Pracowni?

Jacek Zachara: Gdy zamieszkałem w Bielsku-Białej w 1991 roku, to zacząłem poznawać miasto i okolice. I tak trafiłem do Doliny Wapienicy. Pamiętam ten moment do dziś. Szedłem najpierw w deszczu, później przez parujący las i w takiej nieco mistycznej atmosferze natrafiłem na Domek nad Zaporą. Zaintrygował mnie napis na bramie – Stacja Edukacji Ekologicznej, a jeszcze bardziej nazwa „Pracownia na rzecz Wszystkich Istot”. Zastanawiałem się – cóż to jest?

Niedługo później zobaczyłem w telewizji film, gdzie występował Janusz Korbel. Słuchając tego, co mówił Janusz, czułem, że mówi właśnie m.in. do mnie. W tej wypowiedzi było spojrzenie na przyrodę, które mi odpowiadało, radykalnie odmienne od tego, z czym do tej pory się spotykałem. Z tego powodu miałem nawet później kryzys z tożsamością w moim ówczesnym środowisku, czyli wśród braci turystyczno-przewodnickiej, która przebywała w przyrodzie biegając po niej, jednak bez głębszego związku z nią.



Jacek Zachara podczas realizacji programu „W interesie publicznym”. Rezerwat Turnica, grudzień 1997. Fot. z archiwum PnrWI

Traf chciał, że niebawem kolega, Tadeusz Piotrowski, opowiedział mi o warsztatach organizowanych przez Pracownię. Zapisalem się na pierwszy wolny termin i później przez cały rok uczestniczyłem w każdym warsztacie w Dolinie Wapienicy – albo w Zgromadzeniu Wszystkich Istot z Martą Lelek i Januszem Korbelem, albo w warsztacie „Las”, prowadzonym przez Jana Holeksę. Jeżeli chodzi o ten drugi warsztat, to on sprawił, że zacząłem rozumieć procesy zachodzące w lesie. Później stopniowo zacząłem wspomagać Pracownię, aż zostałem jej członkiem.

Jak wspominasz gorące dni na Górze Św. Anny z 1998 roku? Czy wierzyliście, że możecie zatrzymać budowę autostrady przez środek parku krajobrazowego?

To była pierwsza wielka i skomplikowana akcja, w której uczestniczyłem. Dodatkowo była ona bardzo trudna pod względem logistycznym i psychologicznym, gdyż prawie nikt z uczestników nie miał podobnych doświadczeń.

Wiedzieliśmy, że ta autostrada i tak zostanie zbudowana. Natomiast czyniliśmy starania na tyle, na ile można, aby dać świadectwo swojej niezgody na niszczenie przyrody. Miałem wewnętrzne przekonanie o konieczności prowadzenia protestu, pomimo faktu, że były niewielkie szanse na powodzenie.

Cała akcja na Górze Św. Anny wybuchła nagle, gdy kilka miejscowych osób zobaczyło, że prowadzona jest wycinka. Oni po prostu wyszli naprzeciw maszyn i powiedzieli: „Stop!”. Z tego stworzyła się największa akcja obrony dzikiej przyrody do czasu protestu w Dolinie Rospudy. To było jak pospolite ruszenie różnych środowisk. W zasadzie z niewielkiego protestu przez 40 dni zrobiła się wielka akcja, która odbiła się szerokim echem w Polsce i za granicą.

Co ciekawe, w czasie protestu często zastanawialiśmy się, czy już kończyć akcję, czy już udało się dokonać tego, co chcieliśmy osiągnąć. Ale to były jedynie rozważania, bowiem gdy odbywały się

zebrania wieczorne w kręgu, nikt z uczestników nie chciał przerwać protestu.

To były trudne dni, niełatwo żyć w polowych warunkach. Pomimo znacznego doświadczenia w spaniu w lesie, w górach, pod gołym niebem, dla mnie ta sytuacja była zupełnie inna. W lesie zwykle człowiek obcuje tylko z przyrodą, doświadcza jej i psychicznie odpoczywa. Tam nie mogłem spać, było we mnie wiele emocji. Źle czułem się z tym, że wokół nas wszystko było wycinane i codziennie pracowały maszyny. Poza tym napuszczano na nas różnych ludzi, przyjeżdżała policja, odczuwaliśmy stałą presję. Ale z drugiej strony czuć było solidarność uczestników, udawało się utrzymać dyscyplinę mimo dużej rotacji ludzi.

W nocy, gdy cichły działania niszczycieli, słychać było intensywne śpiewy ptaków. To mi dodawało dużo motywacji i siły. Wraz ze świtem stopniowo śpiew ptaków wypierał ryk pojazdów i pił motorowych. Do dziś został mi uraz do dźwięku piły motorowej.

Wydaje się, że protest przeciwko budowie autostrady przez Górę Św. Anny był przełomowy, jeśli chodzi o sposób prowadzenia kampanii dla ochrony cennych miejsc przyrodniczych. Dziś konieczne jest podejmowanie działań już na etapie planistycznym, dotyczącym różnych inwestycji. Co w takim razie osiągnięto dzięki protestowi na Górze Św. Anny?

Pokazano siłę społeczną – to, że w specyficznych sytuacjach, gdy jest zagrożona przyroda, może pojawić się grupa osób, która będzie jej bezkompromisowo bronić, że siłą oporu tej społeczności nie jest liczebność, lecz moc ducha. Druga strona dysponowała wszystkimi środkami przymusu, ale okazało się, że nie jest w stanie złamać wnętrza człowieka występującego jako rzecznik przyrody.

Do dziś fascynuje mnie to, że niewielka grupa osób, uzbrojona w przekonania, może wyzwolić z siebie moc, której nie jest w stanie złamać aparat państwa. Bo choć autostradę i tak zbudowano, to uczestnicy protestu nie przegrali moralnie. Nie da się tego powiedzieć o drugiej stronie.

Akcja w obronie Rospudy zakończyła się sukcesem z dwóch powodów – dlatego, że u jej podłoża leżały właśnie doświadczenia wyniesione z Góry Św. Anny oraz z racji przynależności Polski do Unii Europejskiej. Można było się odwołać do innej instancji, do której nie miały dostępu polskie koterie. Inaczej stałoby się to samo, co z Górą Św. Anny.

Koniec lat 90. to również batalia o utworzenie Turnickiego Parku Narodowego. Dlaczego nie udało się doprowadzić do jego powołania?

Główną przeszkodą okazało się lobby łowieckie. Obszar projektowanego Turnickiego Parku Narodowego obejmuje teren tzw. państwa arłamowskiego, czyli dawnego miejsca polowań komunistycznych bonzów, gdzie były i do dzisiaj są silne tradycje łowieckie, mimo zmiany ustroju.

Proceder związany z myślistwem jest intratnym biznesem. Ale pieniądze trafiają tylko do tych, którzy byli i są wysoko postawieni, a ludność miejscowa dostaje ochłapy. Stworzył się taki mechanizm, że osoby polujące lub żyjące z polowań, tworzą lobby i na różnym poziomie decyzyjnym przeciwdziałają inicjatywie utworzenia tam parku narodowego. Dzieje się to całkowicie poza kontrolą społeczną.

Ta grupa, która ma wpływy polityczne i pieniądze, jest w stanie manipulować społeczeństwem, głosząc, że tworzenie parku narodowego jest złym pomysłem.

Działania Pracowni na rzecz Turnickiego PN angażowały wielu miejscowych ludzi, którzy całym sercem chcieli utworzenia parku narodowego, mimo że byli szykanowani przez lokalną mafię, żyjącą z łowiectwa.

Duże znaczenie miała postawa prof. Jerzego Pióreckiego, który był bezkompromisowym

propagatorem idei utworzenia parku narodowego, jego wielkim orędownikiem, twórcą projektu parku narodowego. Profesor nie zatrzymał się na etapie przygotowania projektu i dokumentacji, ale poszedł dalej, i stał się w pewnym sensie aktywistą ekologicznym, co jest bardzo rzadkie w gronie naukowców.

Działając w Pracowni, podkreślałeś ważność zachowania kultur i tradycji charakterystycznych dla różnych regionów kraju, a mocno osadzonych i związanych z okoliczną przyrodą. Czy ochrona przyrody z zasady powinna wspierać inicjatywy dla zachowania lokalnych kultur i tradycji?

Tu istnieje taki problem – nie zawsze ochrona przyrody może wspierać takie działania, gdyż nie każda lokalna kultura i tradycja są czymś dobrym dla kondycji przyrody. Lud generalnie postępuje w sposób pragmatyczny, w ramach dostępnych instrumentów i narzędzi przysposabia przyrodę do realizacji swoich celów. Czasami powoduje to limitowanie eksploatacji, ale jest wiele przykładów na to, że zagalopowano się w korzystaniu z zasobów przyrodniczych i dochodziło do totalnej katastrofy ekologicznej i danej kultury.

Chroniąc przyrodę, można działać wbrew lokalnym tradycjom. Generalnie w tych kulturach, w których narzędzia były na wysokim stopniu rozwoju, przyrodę niszczone bardziej. Natomiast w kulturach i tradycjach, gdzie narzędzia były mniej zaawansowane, ich skutki były proporcjonalne do siły rażenia. Czyli o stopniu eksploatacji bardziej decydowały dostępne narzędzia niż świadomość skutków.



Jacek Zachara. Fot. Justyna Zachara

Dla mnie podkreślanie znaczenia lokalnych tradycji i kultury wynika bardziej z potrzeby odreagowania współczesnego świata, który jest zuniformizowany. Moja fascynacja kulturami lokalnymi wynika z ich różnorodności i bogactwa form.

Część z tych kultur rozwinęła takie sposoby oddziaływania na przyrodę, które nie powodowały w niej znacznego uszczerbku. Natomiast są i takie, które bez pardonu niszczą ją.

Jeżeli ktoś obcuje z przyrodą cały czas, choćby i przez to, że idzie wyrąbać drzewo z lasu lub nawet poluje, ale w ten sposób zaspokaja swoje podstawowe potrzeby życiowe, to siłą rzeczy ma lepszy kontakt z przyrodą niż ktoś, kto mówi lub pisze pięknie o przyrodzie, ale ogląda ją przeważnie tylko w Internecie.

16 września 2009 r.

Jacek Zachara – z zawodu terapeuta, z wykształcenia etnolog, lider Stowarzyszenia „Olszówka”, przez wiele lat realizował projekty z zakresu edukacji ekologicznej i regionalnej. W latach 1996-1997 prezes Pracowni na rzecz Wszystkich Istot, prowadził wiele kampanii na rzecz ochrony dzikiej przyrody. Aktywny przewodnik po górach Polski, Słowacji, Ukrainy i Rumunii. Jest również fotografikiem, a jego zdjęcia były prezentowane w wielu publikacjach i na wystawach. Wydał autorski album fotograficzny „Przyroda Bielska-Białej”. Jest współautorem i pomysłodawcą wydania mapy i przewodnika „Bielsko-Biała – Dziedzictwo kulturowe”. Ostatnio „zlokalizował się” i broni dwóch obszarów położonych nieopodal jego domu w Bielsku-Białej: Gościnnej Doliny, gdzie chciano poprowadzić drogę przez obszar przyrodniczo cenny, a także Cygańskiego Lasu, w którym aktywizuje miejscową ludność przeciw zagarnianiu przez deweloperów przestrzeni cennej kulturowo

i krajobrazowo.